

Ojcowska Opowieść 6

o inflacji

Kochany Wikruszku!

Przed wyjazdem pytałaś, dlaczego ludzie nie drukują więcej pieniędzy. Bardzo dobre pytanie. Czy pamiętasz moją opowieść o tym, skąd się wzięły pieniądze? Jak dentysta chodził od szewca do bartnika, od bartnika do stolarza, zanim mu się udało zamienić to, co mógł dać: leczenie zębów - na to, czego potrzebował: nowe buty.

Naprawdę historia pieniędzy jest dłuższa. Środkiem płatniczym bywały przeróżne rzeczy takie, które a) łatwo przechować i się nie psują, b) są powszechnie uważane za wartościowe, i c) łatwo je przekazać drugiemu człowiekowi. Mogło to być złoto i srebro, mogły drogie tkaniny i futra, mógł miód; środkiem płatniczym bywała sól, kiedyś bardzo droga, do dzisiaj "słona cena" znaczy cena wysoka.

Za mojej młodości znaleziono w Krakowie skarb, który ktoś sobie schował wiele wieków temu, a była to skrzynia pełna... siekierok. Siekierok o dziwnym kształcie, one się



nie nadawały do rąbania, to były tak naprawdę monety, tylko nie okrągłe, a w kształcie siekierek, i nie ze złota, a z żelaza. Archeolodzy nazwali je płacidelkami.

I tak jak wartość złotej monety to wartość zawartego w niej złota, tak wartość tych siekierek była wartością żelaza. A żelazo było bardzo cenne, bo wytapiało się je powoli i z wielkim trudem.



Te wszystkie rzeczy - miód, sól, jedwab, złoto, żelazo - mają wartość same w sobie, służą jeszcze do czegoś oprócz płacenia. Dzisiejsze pieniądze nie - banknot nawet 200 zł to świstek papieru, monety to blaszki z dość taniego metalu, o co tu chodzi? Otóż to jest tak zwany pieniądz fiducjarny, od łacińskiego fidutio - zaufanie. Ma wartość, bo ludzie ufają, że za tę blaszkę czy papierek coś kupią. A drukuje te pieniądze władza państwowa i zapewnia, że coś tym pieniądzem będzie można załatwić, na przykład zapłacić podatki, kupić od państwa ziemię czy jeszcze coś. Takie pieniądze to jakby punkty w wielkiej grze w płacenie, kupowanie i sprzedawanie.

I czasem - nawet prawie zawsze i w prawie każdym

kraju - rząd wciąż drukuje trochę więcej pieniędzy, niż powstaje dóbr (towarów i usług), któreby można za nie kupić. Jeżeli to robi bardzo ostrożnie i z umiarem, to jest dobrze - ceny powolutku rosną, rosną również płace, wartość pieniądza powoli maleje, ale dzięki temu ludzie nie trzymają pieniędzy w łóżku pod materacem, a patrzą, co by zrobić, żeby pieniądz przyniósł więcej pieniędzy. Na przykład kupić maszyny i materiały do jakiejś produkcji. Wybudować hotel z basenem i na nim zarabiać. Zapisać się na kurs czegoś, co będą robił za pieniądze. I żyje się coraz lepiej.

Ale jeśli rząd zaszaleje i wydrukuje naraz bardzo dużo pieniędzy, dzieje się źle. Pieniądze szybko tracą wartość i ludzie przestają im ufać. To się nazywa hiperinflacja. Jeżeli coś sprzedają za pieniądze, to chcą wysokiej ceny. Coraz wyższej. Oszczędności stają się śmieciami. Co z tego, że wczoraj uczciwą pracą zarobiłem 100 złotych, jeżeli dzisiaj rząd drukuje więcej i więcej i wszyscy mają w kieszeniach miliony, a jutro miliardy. Podobno w jakimś kraju człowiek rano sprzedał dom, a wieczorem za te same pieniądze kupił koguta. W krajach, gdzie tak się dzieje, ludzie wracają do handlu wymiennego, płacą sobie nawzajem kostkami masła czy mydła, cukrem, konserwami, benzyną, papierosami, często obcymi pieniędzmi - z innego, mądrzej rządzonego kraju. Rząd coraz mniej może kupić za drukowane miliardy, więc zaczyna

drukować biliony, tryliony, ledwo się zera mieszczą na banknotach.

Tryliony? Trudno uwierzyć? Otóż tak się kiedyś stało w Zimbabwe – afrykańskim kraju, i tak niezbyt bogatym, któremu się w dodatku trafił zły rząd.



Policz zera na tym banknocie, jeżeli potrafisz.

W czasach dzieciństwa i wczesnej młodości Twojej Mamusi coś podobnego - chociaż nie AŻ tak - działo się w Polsce. W obiegu były banknoty stutysięczne, milionowe, dwumilionowe. Duże oszczędności, które ktoś zrobił pięć-dziesięć lat wcześniej, nagle wystarczyły na dwa pączki z marmoladą albo i bez.





I wtedy ministrem finansów (czyli tym, który w rządzie pilnuje pieniędzy) został mój imiennik, Leszek Balcerowicz. Zmniejszył wydatki państwa - rząd przestał dopłacać do wielu rzeczy, do których wcześniej dopłacał. Wielu ludzi straciło wtedy pracę i musiało szukać innej. Wielu z braku pracy zaczęło handlować na bazarze (może znasz w Poznaniu taki plac przy ulicy Bema); gliwicki bazar nazwano nawet "Placem Balcerowicza". Wielu ludziom było ciężko. Ale inflacja przestała galopować, i polska złotówka stała się znowu pieniądzem z prawdziwego zdarzenia.

Ceny i płace nadal liczono w milionach, ale już nie rosły jak szalone. I prowadzono nowe złotówki: jedna nowa była warta 10.000 starych. Dziesięć tysięcy. Tak, ten banknot z Marią Skłodowską-Curie to dzisiejsze dwa złote, a ten z marszałkiem Piłsudskim – pięćset.

Rząd, który drukuje dużo pieniędzy, może nawet chce dobrze; chce ludziom zapłacić, żeby budowali drogi, szpitale, szkoły, oczyszczalnie ścieków, i żeby mieli za co żyć - ale niestety można wydrukować banknoty, ale

nie można wydrukować ich wartości. Wartość musi się brać z powstających prawdziwych dóbr. Z dobrze zorganizowanej i wytrwałej pracy.

Na dzisiaj to tyle. Dobrej nocy, Córeczko.

Kocham Cię - **Tatuś.**